

UTKANA  
Z MAGII



LYDIA GREGOVIC

UŁKANA  
Z MAGII

PRZEŁOŻYŁA NATALIA LAPRUS

Bliss

TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Weaver Bride*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczynie: Olga Gorczyca-Popławska

Redakcja: Adrian Kyc

Korekta: Katarzyna Kusojć

Opracowanie graficzne okładki i brzegów: Łukasz Werpachowski

Grafika na stronach rozdziałowych: © Krecunat / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by Lydia Gregovic

Jacket art copyright © 2025 by Christin Engelberth

This edition is published by arrangement with Sterling Lord Literistic, Inc.  
and BookLab Literary Agency.

Copyright © 2026 for the Polish edition by Bliss an imprint  
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Natalia Laprus, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-502-6

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)



Bliss

*Dla każdego, kto pomyślał, że jest okrutny przez to,  
iż chce więcej.*

*I dla mojego rodzeństwa.  
Jak Eliot Lear – ja również kłamałabym, oszukiwała  
i kradła dla was.*



*Zaznałem głodu drapieżcy i niekończącego się strachu ofiary; przemierzałem świat jako niedźwiedź i czułem, jak sama ziemia ugina się pode mną; spałem w ograniczonym umyśle myszy i doświadczyłem płytkiej nieskończoności jej myśli. A mimo to jedyną istotą, której nigdy nie zrozumieć, jest ta zamieszkująca serce naszej nacji: nasze kobiety, a zwłaszcza jedwabne wiedźmy.*

– ARNAUD MOREAU Z RODU TKACZY MOREAU



*Życzę mu tylko wielkiej miłości, jako że żadna inna broń nie zada tak godziwej agonii.*

– NIEZNANY BALMOORSKI GENERAŁ  
O SWOIM WROGU



Początkowo moją uwagę przykuł jego zegarek kieszonkowy. W Balmoore było wielu przystojnych mężczyzn, a najwięcej skupiło się wokół stolicy naszego państwa, smaganej przez morze wyspy d'Eylau. Ale to z rozpoznawania bogaczy uczyniłam swój sposób na życie.

Łańcuszek zdawał się subtelny: cienki, jego ogniwa miały delikatny kolor różowego złota, a końcówka z zegarkiem znikiała w kieszeni kamizelki. To nie był jedyny taki gadżet w podwieczorkowym tłumie zapelniającym połyskujące złotem wnętrze Dyplomata, kosmopolitycznego nadmorskiego hotelu, w którym aktualnie przebywałam; nie był nawet jedynym przy barze. Z mojego miejsca, gdzie sączyłam kawę z porcelanowej filiżanki przy akompaniamencie popołudniowego deszczu, widziałam jeszcze dwa podobne zegarki. Jeden, srebrny i gruby jak mój palec wskazujący, błyszczał na torsie mężczyzny w muszce, który wpatrywał się wygłodniałe w kobietę siedzącą kilka stołków dalej, a drugi przemykał między palcami młodszego

dżentelmena, z którym owa kobieta prowadziła rozmowę. Oba wyglądały na drogie.

A jednak mój wzrok spoczął na każdym z nich tylko przez chwilę, zanim nie powrócił do tego mniej wyszukanego – pierwszego, którego zobaczyłam tego wieczoru. Właściciel zegarka siedział pochylony przy barze, twarz miał skrytą w cieniu melonika opuszczonego nisko do linii oczu, choć przecież znajdowaliśmy się w pomieszczeniu. Miał na sobie dopasowany frak i spodnie w kolorze lśniącego hebanu, a to, jak siedział – zgarbiony, jakby jego mięśnie były cieżką – wskazywało, że prawdopodobnie jest młody. Wnosząc po tym, że wszystkie przechodzące obok niego damy zatrzymywały się na moment bez żadnego wyjaśnienia, jakby brzeg ich sukni zaczepił się o niewidzialny gwóźdź, założyłam też, że jest przystojny.

Żaden z tych aspektów – jego przypuszczalna atrakcyjność, fakt, że miał na sobie najmodniejsze odzienie – nie był specjalnie wyjątkowy. Dyplomata był miejscem, w którym gromadzili się bogaci ludzie z wyższych sfer w mieście opanowanym przez bogatych ludzi z wyższych sfer; nawet o tej względnie wczesnej godzinie wszyscy w tym holu przybyli tu, by podziwiać i być podziwianymi. Moją uwagę w przypadku tego konkretnego gościa przykuło to, że kiedy inni mężczyźni poruszali się na swoich miejscach, ich zegarki błyszczały dość nijako, odbijały mizerną burzową jasność z zewnątrz, która wlewała się do wnętrza okazałego pomieszczenia niczym mętne piwo, ale kiedy to właściciel zegarka z różowego złota się poruszał, jego łańcuszek... płonął.

Był tkany – nie istniało inne wyjaśnienie tego, jak metalowe ogniwa ociekały gwiazdnym blaskiem, gdy dotykało ich światło, jakby pod ich wypolerowaną powierzchnią krył się stopiony biały rdzeń. Choć nie mogłam dostrzec źródła tego żaru, byłam

niemalże pewna, że gdyby otworzyć okrągłą kopertę zegarka, znalazłoby się pojedynczą lśniąca nitkę powabu utrwalonego wewnątrz niby skamielina.

Tak po prawdzie ta nazwa jest trochę myląca. W przeciwieństwie do tego, co myślałam, kiedy się o nich dowiedziałam, tkane przedmioty nie wzięły swojej nazwy od materiału, z którego zostały wykonane – mogą być wytworzone z metalu lub tkaniny albo czegokolwiek pomiędzy – ale raczej od nadającego im moc powabu uprzedzonego z włosów jednej z szanowanych jedwabnych wiedźm z Balmoore, które to włosy zawierały ułamek magii przepelniającej ciała dziewczyn takich jak ja. Gdybym wcześniej rano nie umyła pieczołowicie własnych włosów moją szkodliwą miksturą z gotowanej kory drzewa orzechowego, liści figowych i wina, moje fale błyszczałyby w ten sam sposób – choć zdecydowanie słabiej. Byłby to blask sygnalizujący błogosławieństwo siostrzanych bogiń, Zawiści.

Prawdopodobnie nić powabu w tym malutkim zegarku zaczarowała go tak, by jego wskazówki nigdy nie tykały zbyt głośno, by nigdy nie wypadły z rytmu i nigdy się nie zatrzymały. Zresztą nie interesowały mnie szczegóły techniczne.

Interesował mnie właściciel tego zegarka.

Jak wiedział każdy mieszkaniec Balmoore, istniało tylko kilka sposobów na zdobycie tkanego przedmiotu. Jeśli miało się taką możliwość, można było go zakupić lub nawet zlecić jego wykonanie – ale choć jako źródło magii powab był niesamowicie potężny, bo jedna nić zapewniała wieczny czar, wytworzenie go wymagało sporo wysiłku i zasobów. Niewiele osób potrafiło to zrobić, a jeszcze mniej było na to stać.

Bardziej prawdopodobne, że właściciel takiego przedmiotu był sam w sobie Tkaczem – potomkiem jednej z męskiej linii magów, których korzenie sięgały dalej niż początki naszej nacji.

Każda tkacka rodzina miała swoich rzemieślników, którzy kręcili kołowrotki dniem i nocą, przemieniając wypadnięte włosy jedwabnych wiedźm w wytwarzane na zamówienie ozdóbki, takie jak zaczarowane zegarki kieszonkowe. Jeśli tak było w tym przypadku, to gadżet, na który patrzyłam, nie był raczej jedynym skarbem w kolekcji mojego celu; gdzieś przy sobie musiał mieć także pieczęć, magiczny relikwiarz zwykle w formie pierścienia stworzonego z pierwszego włosa otrzymanego od jedwabnej wiedźmy, z którą złączył się w małżeństwie. Ale obserwowałam bacznie młodzieńca, odkąd usiadł, i jeszcze nie widziałam błysku ostentacyjnej obrączki na jego palcu. Na fraku również nie było widać charakterystycznego insygnium kołowrotka, które każdy Tkacz nosił z dumą, by się wyróżnić.

Dlatego pozostawało jedno wyjaśnienie: jeśli ten chłopak nie był mężem jedwabnej wiedźmy – a sam nie był Tkaczem – musiało to oznaczać, że był inną, równie nieuchwytną i rzadką istotą.

Niesamowicie bogatym kawalerem.

Zdobycz idealna.

Spojrzałam na zegar nad barem. Wskazywał za piętnaście czwartą, a więc miałam dokładnie piętnaście minut, zanim będę musiała pokonać piętra Dyplomata i dostać się do pokoju dwadzieścia trzy, gdzie czekał na mnie lokaj pani Catherine Pierce – mężczyzna o surowej twarzy i imieniu Guillaume. To niewiele czasu, ale jeśli będę skuteczna, wystarczy.

Odsunęłam na bok filiżankę kawy, wsunęłam na nadgarstek wyszywaną torebkę i wstałam z krzesła. Prawie dotarłam już do stołka obok tego, który zajmował właściciel zegarka, kiedy ten wstał, obracając się w pośpiechu, i wpadł wprost na mnie.

– O boginie... Bardzo przepraszam panienkę.

Dwie dłonie na mojej talii, przytrzymujące mnie, kiedy mnie odrzuciło, i prędko wycofane. Podniosłam wzrok z podłogi, na

którą padł wcześniej w złąknionym oczekiwaniu na zderzenie z nią, i zobaczyłam solidną pierś w wykrochmalonej koszuli. Moje oczy powędrowały wyżej, rejestrując podwinięty kołnierzyk przewiązany szafirowym jedwabnym fularem, aż wreszcie dotarły do jego twarzy.

Melonik mojego celu przechylił się do tyłu przez nasze zderzenie, w pełni ukazując mężczyznę pod nim. A raczej chłopca – z bliska wydawał się jeszcze młodszy, niż zakładałam, oscylował gdzieś na granicy dojrzewania i dorosłości, w pobliżu moich osiemnastu lat. Jednak pozorne braki w wieku nadrabiał wzrostem. Sama nie mierzyłam mało, ale jego postura była tak okazała, że musiałam aż zadrzeć podbródek, by w pełni go zobaczyć, co od razu mi się nie podobało, bo czułam się przez to bezbronna jak jakaś mrugająca tępo lania, która wpatruje się w swojego łowcę. Skóra młodzieńca miała jasny, ziemisty odcień, w oczach osób znajdujących się na modzie zapewne „płowy”, i lśniła różowo, co świadczyło o zdrowiu i odporności, o długich spacerach przez omiatane wiatrem wrzosowiska i o niewyczerpanej energii. Pod melonikiem blond kosmyki oscylowały na granicy loczków i fal, przygniecione ciężarem kapelusza. Młodzieniec patrzył na mnie jak gdyby zmartwiony; jego oczy były ciekawe, piwno-zielone z nitkami złota niczym świeżo opadłe liście.

Był bezsprzecznie, bez wątpienia, wyraźnie przystojny i aż się zdziwiłam, kiedy na policzkach poczułam rozlewający się rumieniec – cień uderzenia gorąca. Pospiesznie przywołałam się do porządku. Nie byłam niepewna siebie, ale samo to nie wystarczy – wcześniejsze doświadczenia nauczyły mnie, że w takich sytuacjach najlepiej jest mieć widoczną przewagę w aparycji. W końcu przynęta była bardziej kusząca, gdy cel polowania musiał sięgnąć ku górze, by ją pochwyć. Żaden mężczyzna nie chciał tego, co pływało na jego poziomie.

Między brwiami chłopaka pojawiła się zmarszczka i przerażona zdałam sobie sprawę, że czekał na moją odpowiedź. Co on właśnie powiedział? Prędko przeczesalam pamięć: „Przepraszam”. Przeprosił za to, że na mnie wpadł. Na Trzy Siostry, chciałabym móc oderwać od niego wzrok – jego uroda była irytująca, dezorientująca, jak oślepiające letnie słońce w zenicie.

Zebrałam się w sobie, zmusiłam usta do delikatnego uśmiechu i zrobiłam krok do tyłu, by zwiększyć dystans między nami.

– Nie szkodzi, sir. To moja wina – oznajmiłam, uciekając wzrokiem do baru, gdzie zaniepokojony barman obserwował nas ze zmarszczonym czołem. Finezyjny zegar nad nim wskazywał teraz zaledwie osiem minut do czwartej. Musiałam się spieszyć, bo Guillaume nie tolerował spóźnień. Poza tym mój plan, który przy małym stoliku wydawał się taki solidny, teraz sprawiał wrażenie chybotliwego niczym stary drewniany most. Biorąc wdech, przekierowałam uwagę z powrotem na młodzieńca i rozważałam, jaki kolejny ruch wykonać...

Zamarłam, kiedy leniwie sięgnął, by poprawić fular, odchylając przy tym materiał i odsłaniając symbol wyszyty na kołnierzyku pod nim – teraz widoczny jak pająk pod kamieniem.

Złoty kołowrotek.

Przeszył mnie strach. W całym Balmoore była tylko jedna klasa mężczyzn, którzy nosili tę pieczęć. Tylko jedna grupa pracowała z pozłacanymi szpulami.

Czułam, jakbym przechylała się lekko, jak na jakiejś osi. Młodzieniec przede mną był Tkaczem – czarnoksiężnikiem kategorii, której starałam się unikać od ostatniego roku. A gdyby jeden z nich mnie zwęszył, wołałabym nie myśleć o konsekwencjach.

Klasztor. Wstrząsnęło mną na myśl o przypominających fortece instytucjach, gdzie wszystkie jedwabne wiedźmy wysyłano na wygnanie, jeśli nie udało im się znaleźć męża do

dwudziestego pierwszego roku życia. Od wschodniej strony wyspy było widać te przysadziste kamienne konstrukcje wczesione w klify Balmoore, z linii brzegowej wyglądające jak rząd ponurych twarzy. Szczegóły tego, co wydarzyło się za tymi mętными oknami, są w większości nieznane, co bardzo sprzyjało plotkom. Jednak pewne kwestie zawsze pozostawały spójne bez względu na wersję: rzędy kołowroteków ustawionych jak żołnierze w przygnębiającym mroku, obsługiwane przez zaledwie kilka lat starsze ode mnie dziewczyny z dłońmi zakrwawionymi i pokłutymi od godzin spędzonych na karmieniu szpul wiązkami ich włosów. Zważając na fakt, że motek z włosów jedwabnej wiedźmy wystarczał na jedną długość powabu, przędzenie zajmowało sporo czasu – nie żeby kobiety podejmujące się tej pracy miały jakikolwiek wybór. Dziewczyny takie jak ja miały tylko dwie ścieżki, którymi mogły podążyć: albo wychodziłyśmy za mąż i trafiałyśmy pod władzę męża – Tkacza, aż nasza magia nieuchronnie wygaśnie, albo kończyłyśmy w klasztorze..

W założeniu miało to być rozwiązanie tymczasowe. W przeciwieństwie do magii Tkacza, która dojrzewała wraz z nim i towarzyszyła mu do śmierci, błogosławieństwo jedwabnej wiedźmy było zaledwie chwilową iskrą, która zazwyczaj ujawniała się w wieku dojrzewania, a gasła mniej więcej dekadę później, gdy dziewczyna była dwudziestoparolatką, a jej dojrzałość przeganiała resztki młodości. Można by uznać z rezygnacją, że wyczerpanie daru było ulgą dla wiedźm w klasztorze – że kiedy ostatnie jego skrawki zostały zużyte, a włosy nie produkowały już powabu, ich izolacja dobiegała końca.

A jednak... w opowieściach o klasztorach stale powracał jeden szczegół, powtarzany tak często, że trudno było go zignorować. Jedwabna wiedźma, która przekraczała próg tego mrocznego miejsca, już nigdy go nie opuszczała.

Wróciłam do rzeczywistości, cały czas utrzymując uśmiech. Wymamrotałam kolejne przeprosiny pod adresem młodzieńca czekającego przede mną. Może jeśli odegram swoją rolę dostatecznie dobrze, wykonam swój plan, nie zdradzając niczym, kim tak naprawdę jestem. Mieszkałam na wyspie d'Eylau ponad rok i jeszcze nie zwróciłam uwagi żadnego z rodów Tkaczy. A ryzykować teraz z powodu drobnej kradzieży, która zapewni mi kilka monet...

Nie, w tym przypadku przerwanie misji było najrozsądniejsze.

Już dygałam, kiedy poczułam delikatne muśnięcie na łokciu.

– Poczekaj pani... poczekaj panienka chwilę. – Palce młodzieńca objęły moje ramię, zachęcając do wyprostowania się. Cholera. – Zauważyłem panienkę już wcześniej, jak piła panienka kawę – ciągnął, gdy niechętnie uniosłam ku niemu głowę. – Przez ostatnie dziesięć minut starałem się przywołać krztynę odwagi, żeby wpaść na panią i się przywitać, ale nie spodziewałem się, że moje ciało potraktuje to tak dosłownie.

Zachichotał, wskazując na swoją smukłą sylwetkę w drogim garniturze, jakby się z siebie naśmiewał. Na ten popis moja irytacja wzrosła. Znałam młodzieńców jego pokroju, znałam ich dość dobrze. Zawsze grali dżentelmenów, ale tylko powierzchownie, niczym bukiet kwiatów opleciony wokół żelaznego pręta. To tylko słodkie słówka i wymyślne prezenciki – póki nie przypomnisz im, że nie jesteś zwierzątkiem domowym, które można sobie posadzić na kolanach; póki nie będziesz nieposłuszna. Wtedy marchewka ustępowała miejsca kijowi.

Poczułam, że wyraz na mojej twarzy robi się wymuszony.

– Jest pan zbyt miły, sir.

Mój ton był niemalże szorstki, ale nie mogłam tego powstrzymać. Z każdą mijającą sekundą czułam, że wskazówka minutowa zegara nad barem zbliża się do czwartej, jej ruch był jak uderzenie linijką w nadgarstek.

Młodzieniec znowu się zaśmiał, zdejmując kapelusz i przeczesując palcami loczki.

– Ale za grosz bystry, bo w przeciwnym razie panienka by się zaśmiała – odparł, a oczy zabłysły mu rozbawieniem. Po raz kolejny skoncentrowały się na moich, jego spojrzenie było jak smagnięcie zimnego powietrza. Orzeźwiało intensywnością.

Wzięłam wdech. Miałam wrażenie, że w głębi jego źrenic wykryłam pewną drwinę, jakby przejrzał mnie na wskroś, jakby znał szorstką prawdę moich myśli i jakby go ona bawiła. Zamurowało mnie, było to jak przyłapanie cienia w pozycji innej niż ta, którą narzuca słońce – niespodziewany zwrot w postrzeganej rzeczywistości.

Wtedy znowu przemówił i miałam wrażenie, że wszystko wróciło do normy.

– Powie mi panienka, proszę – dociekał, przybliżając się – jak ma na imię? Myślałem, że już dawno sklasyfikowałem wszystkie anioły Dyplomata, ale mieszkam tu od tygodnia, a wcześniej panienki nie widziałem. Jest pani nowa na wyspie?

Powstrzymanie się od grymasu kosztowało mnie bardzo wiele. Każdy logiczny impuls, który jeszcze nie opuścił mnie w mej rozpacz, kazał mi odejść i zmierzać na spotkanie z Guillaume'em. A jednak... miałam wrażenie, że młodzieniec jest marionetką, którą pociągam za sznurki, bo jego uwagi tak dobrze wpasowywały się w mój pierwotny plan – intrygę, która w ogóle sprowadziła mnie do baru. Musiałam tylko trochę go szturchnąć, a sam wpadnie w pułapkę.

Zakiełkowała we mnie arogancja. Ten młodzieniec już zdążył ukraść cenne minuty mojego czasu. Czy niesprawiedliwym byłoby zawłaszczenie w zamian czegoś należącego do niego?

Obrałam kurs, pozwoliłam sobie na rozluźnienie, pochyliłam podbródek, jakby jego komentarz mi schlebiał.

– Przyplłynęłam tego ranka, sir, razem z moją matką – odpowiedziałam cicho. – Ale muszę pana przeprosić, ponieważ czeka ona na mnie teraz w naszym pokoju. Powinnam już iść. Może... – Przygryzłam wargę. – Gdyby zostawił pan kontakt do siebie u konsjerża, mogłabym poprosić pokojówkę o dostarczenie listu do pana? Matka i ja mamy w planach odwiedzić operę w tym tygodniu i na ten moment brakuje mi towarzystwa.

Efekt był natychmiastowy: młodzieniec odchylił się, na jego twarzy zagościł triumf.

– Oczywiście – odparł z zapalem, kiwając ochoczo głową. – Nie przystoi kazać matce damy czekać, prawda? Proszę pytać o Victora Greavesa. – Kiedy pochylał się w ukłonie, złapał mnie za lewy nadgarstek, przyłożył go sobie do ust i ucałował. – Miło panienkę poznać.

Zamruczałam pod nosem w odpowiedzi. Moją uwagę znowu przykuł jego zegarek, który odbijał teraz promień światła, błyszcząc jaśniej niż do tej pory. Greaves. Nie znałam tego nazwiska; ciekawiło mnie, z której linii Tkaczy się wywodził. Pod wpływem impulsu przyjrzałam się zegarkowi w poszukiwaniu wyrytej na nim pieczęci – czegoś, co wskaże mi jego pochodzenie – ale nie znalazłam nic takiego.

Młodzieniec znowu się wyprostował, jego wzrok szukał mojego – teraz, kiedy mu uległam, nie był już speszony; był niczym męczyzna wyciągający rękę po nagrodę. Odchyliłam pospiesznie głowę, by nie przyłapał mnie na patrzeniu.

Krótką wymianą pożegnań i byłam już w drodze do pokoju – biegłam przez hol w kierunku głównych schodów, które wyrastały ze środka pomieszczenia. Szmaragdowy dywan był niczym mech pod stopami, tłumił moje kroki. W połowie schodów zatrzymałam się i zerknęłam za siebie, wyczuwając spojrzenie na swoim karku.

Pode mną rozciągał się ekosystem holu: damy się śmiały, zakrywając usta rozpiętymi wachlarzami, a dżentelmeni w eleganckich garniturach krążyli wokół nich jak czarne koty. Jednak w całym tym chaosie wyróżniała się jedna sylwetka. Ręce wcisnął do kieszeni, jego melonik ponownie spoczywał bezpiecznie na lokach, a głowę miał zadartą, by mierzyć mnie spojrzeniem.

Wyglądał, jakby się uśmiechał.